

Adam Wiaryga-Minieski.

## JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

8

Niekiedy w tej porze, kiedy kościoły bywają puste, wsuwała się nieśmiało, ukradkiem do domu Bożego i przklęknawszy w jakimś mrocznym kącie, wpatrywała się długo w wizerunek Ukrzyżowanego, lub w słodkie oblicze Matki Boskiej.

Kiedy odchodziła, zawsze jej było jaśniej i weselej na sercu. I dzisiaj wstąpiłaby do kościoła chętnie, o, jak chętnie, ale nie śmie i musi liczyć się z rzeczywistością.

Przystanęła nieco z boku, aby nie rzucać się ludziom w oczy i postanowiła czekać, aż się skończy nabożeństwo.

Wiedziała, że do tego kościoła chodzi zawsze matka Tadeusza Dowgirda.

Rózi dobrze już zmarzły nogi i policzki zaczęły czerwienić się z zimna, kiedy wreszcie ukazali się Dowgirdowie. Tadeusz prowadził pod rękę matkę, obok której szła Janka Dzieglewska, jasna, różowa, uśmiechnięta. W białym, zakopiańskim serdaku, z rękawami wyszywanymi w srebrne szaroty i białym, sukiennym berecie, podpiętym bukieciem suszonych szarotek, wyglądała ze swoją różową, wiośnianą twarzą i przeźroczyściemi, jasnymi oczyma, jak jakiś swojski kwiat, dziwnie zdrowy, silny i wytrwały, który kwitnie pomimo mrozu i śniegu.

Janka przechyliła trochę główkę i mówiła coś do Tadeusza, a on odpowiadał jej uprzejmym uśmiechem. Pani Dowgirdowa spoglądała kolejno na oboje i miała w tej chwili minę osoby zupełnie z życia zadowolonej.

Różia uczuła bolesny skurcz serca. Pochwyliła zakochane spojrzenie Janki i wydało się jej, że Tadek jest bardzo swoją ładniutką towarzyszką zajęty.

Uderzyło to Rózi, że Dowgird i Janka są do siebie nieco podobni w typie i tworzą razem parę doskonale zharmonizowaną fizycznie.

Zafargała dziewczyną zazdrość nagle, namiętna, dławiąca. Całą siłą woli musiała zapłować nad sobą, aby nie podbiec do tamtej złotowłosej, nie odrzucić jej, nie zawołać:

— On mój!... Rozumiesz?.. On mój!...

Żywo postąpiła parę kroków, tak aby Tadek musiał ją dostrzec. Jej cudne oczy spotkały się z oczyma młodego Legionisty i... Różia odechnęła uspokojona i szczęśliwa.

Ten ciepły, złoty promień, jaki rozbłysnął w źrenicach Dowgirda, spłynął w jej serce słoneczną jasnością. Takie spojrzenie nie kłamie!

Pani Dowgirdowa odwróciła głowę, aby zobaczyć komu się syn kłania. Na widok Goldbaumówny zmieniła się na twarzy z gniewu. Przygryzła wargi, aby nie rzucić głośno jakiej ostrej, obrażającej uwagi.

Jasne było dla niej, że dziewczyna umyślnie przyszła pod kościół, żeby zobaczyć Tadeusza.

Wydało się jej to mściwą bezczelnością i bezwstydnym natręctwem. Zmierzyła Rózię wejrzeniem tak pogardliwym, że panienska drgnęła pod tym wzrokiem, jak pod uderzeniem.

Tadeusz prowadził dalej matkę, ale z coraz większym rozłaganiem odpowiadał, a w końcu przestał zupełnie odpowiadać na wesół szczebiot Janki.

Przed bramą domu, w którym mieszkali, puścił ramię matki i rzekł:

— Dowidzenia. Wróć niedługo, mamusi. Mam się jeszcze z kimś zobaczyć.

Pani Dowgirdowej oczy błysnęły ostro, gniewnie, a Janka zrobiła dziecinnie żalostną minę. Spodziewała się, że Tadeusz teraz pójdzie do mieszkania jej rodziców przywitać się z nimi, bo tak było pierwotnie w projekcie.

— Z kimże to? — zapytała pani Dowgirdowa krótko i sucho, jakby nie swoim głosem.

— Muszę koniecznie iść. Umówiłem się — wyminał pytanie Tadek. — Dowidzenia mamusi, dowidzenia panno Janko.

Z pośpiechem zabierał się do odejścia, ale matka wstrzymała go jeszcze.

— Tadiu!

— Co?

Ruchy jego, dźwięk głosu, wyraz twarzy zdradzały gorączkowe zniecierpliwienie.

— A jeśli ja cię poproszę, abys tego umówionego widzenia zaniechał?

Prośba ta brzmiała jak rozkaz, ale na Tadeka nie wywarła żadnego wpływu.

— Nie mogę, mamusi, w żaden sposób nie mogę!

Przytknął rękę do czapki i już nie siedł ale biegł ulicą.

Pani Dowgirdowa ze względu na Jankę usiłowała pokryć swoje wzburzenie wymuszonym uśmiechem.

— Tadek umówił się napewno z jakim kolegą. On taki do przesady słowny.

Janka skinęła w milczeniu główką. Różowa twarzyczka dziewczęcia zdawała się nieco bledszą, a jasne oczy ciemniejsze.

Nie miała ona wprawdzie żadnych określonych podejrzeń, ale intuicja ostrzegała ją, że to nie do kolegi wyrwa się Tadeusz z takim gorączkowym pośpiechem.

A on pędził, gnany niepokojem, że Różia nie doczekawszy się go odejdzie.

Nie odeszła jednak. Z daleka już poznał jej postać kształtną i smukłą. I ona spostrzegła go i zaczęła ku niemu iść szybko. Przez cienką, przejrzystą osłonkę białej woalki, ciemne oczy świeciły radością. Te cudne, sarnie oczy, które szły za nim wszędzie. Czy wędrował białym gościńcem kieleckim, czy błotnistą drogą poleską, czy moczarnymi ścieżkami lasów wołyńskich nie opuszczały go nigdy. Do serca wprost mu zaglądały i prosiły: „Nie zapomnij o nas“.

Nie zapomniał. Pamiętał, choć tyle przeróżnych wrażeń przepłynęło mu w tym czasie przez duszę, choć tyle innych pięknych ócz dziewczęcych widział, z których niejedne może zapatrzyły się na dziarskiego legionistę.

Tadeusz i Różia biegli ku sobie coraz szybciej, nie zważając na przechodniów. Chcieli choć o minutę, choć o pół minuty przyspieszyć upragnioną chwilę powitania.

Nareszcie!... Modre, jak kwiaty łąk polskich, oczy młodzieńca zatoneły w głębi przepaśnych źrenic dziewczyny. Ręce zwarły się w długim, mocnym uścisku.

Stali tak długą chwilę, wpatrzeni w siebie, bez słowa. Ten i ów obejrzał się za nimi, nie zauważyli tego.

W końcu Różia oprzytomniała pierwsza i bardzo powoli usuwając rękę, szepnęła:

— Chodźmy... przed siebie...

I zaraz rzuciła pytanie:

— Na długo?

— Na osiem dni.

— Tylko na osiem dni... — posmutniała.

— Nie można było na dłużej. Może wkrótce dostanę znowu urlop.

— Och!... Doprawdy?... A czy otrzymałeś mój list ostatni z dziesiątego grudnia?

— Tak... Dziękuję ci. Ale dlaczego przedtem nie pisałaś prawie dwa tygodnie? Tak mi było smutno... Myślałem, żeś zapomniała...

— Tadziku!... Jak mogłeś nawet przypuścić coś podobnego. Jacy mieliśmy... Nie, ty zresztą tego nie przypuszczałeś wcale.

Szli bardzo blisko siebie. Rękaw żakietu dziewczyny dotykał rękawa żołnierskiego płaszcza Legionisty. Nie rozłączali ani na chwilę wzroku, a oczy ich więcej mówiły sobie niż usta. Tyle mieli do powiedzenia, że nie wiedzieli od czego zacząć. Słowa wydawały się im jakieś marne, niewystarczające i służyły raczej do zamaskowania nadmiaru wzruszenia.

Szło od nich gorące i chłodne uczucia, które ma świeżość i zapach kwiatów wiosennych, barwę i żar płomienia, a silne jest jak śmierć, uczucia, które rodzi się w najtajniejszych głębiach istnienia ludzkiego. Przychodzi nieproszone, niespodziewane, przemożne, jakby dla potwierdzenia starej bajki arabskiej o dwóch połowach duszy ludzkiej, które szukają się. A kiedy się odnajdą, to wtedy jest prawdziwa miłość.

— Kto wie! — uśmiechnął się Tadeusz w odpowiedzi na słowa Rózi — „kobieta zmienna jest...“

— Ale nie ja!.. Prędzej ty...

Przypomniała sobie nagle Jankę Dzieglewską i spytała zazdrośnie:

— A ta... blondynka... czy bardzo ci się podoba?

— Jaka blondynka? — zdziwił się Dowgird.

— No ta... Dzieglewska, z którą wracałeś z kościoła.

— Ach! Ja masz na myśli! — odparł z taką niewymuszoną swobodą, że Różia zawstydzila

się swoich chwilowych podejrzeń. — Doprawdy nie wiem, czy ona mi się podoba, czy nie. Dość sobie miła, ale to zdaje się jeszcze zupełnie ciałko.

Różia uśmiechnęła się. Ton, jakim mówił, nie mógł być udany. Znała zresztą Tadeka, że jest on do przesady nawet, czasem brutalnie szczery, ale nie kłamie, nie wykręca się nigdy.

— Skąd ci przyszło na myśl pytać o Dzieglewską? — zapytał jeszcze Tadeusz, któremu nie wpadło nawet na myśl, aby Różia mogła być zazdrosną o tę szczebiotliwą dilerkę.

— Ot, tak sobie — odpowiedziała wymijająco i po chwili dodała:

— Twoja matka lubi ją bardzo... O tyle ją lubi, o ile mnie nie cierpi.

Tadek zmieszał się nieco.

— Przesadzasz może — rzucił niepewnym tonem.

Różia potrząsnęła smutnie głową.

— O nie! Nie przesadzam wcale. Pani Dowgirdowa nie tylko, że mnie niecierpi, ale pogardza mną, brzydzi się.

W głosie dziewczyny dźwięczał żal, ale nie było w nim gniewu. Tadek milczał. Potwierdzić nie miał odwagi, zaprzeczyć nie mógł.

— Widzisz... — zaczął wreszcie, ale Różia przerwała mu.

— Nie tłumacz nic. Ja ją rozumiem. Och! jak ja ją dobrze rozumiem!... Gdybyś ty wiedział...

— Co, Rozalko?

— Jaki to jest ten mój dom... rodzice... mój ojciec... Wiesz, mnie się czasem zdaje, że doprawdy nie mam prawa wdziierać się w twoje życie... że ja...

Nie pozwolił jej dokończyć. Ujął dziewczynę pod rękę i delikatnie przycisnął jej ramię do swego boku.

— Dziecino, daj spokój. Poco o tem mówić teraz, poco truć sobie pierwsze chwile. Ty dla mnie zawsze będziesz tem, czem jesteś: najmilszą, złotą moją dziewczyną, choć „nie swatała mi cię swatka, ani ojciec, ani matka“ — zanucił z cicha.

— Tadiu!... mój jedyny...

Umilkli znowu i patrzyli sobie w oczy z beznamiętnym uszczęśliwieniem, nieczuli na wszystko, co nie było nimi i ich miłością. Nie zwracali też najmniejszej uwagi na mijających ich ludzi.

Młody wojskowy o semickich rysach uklonił się Rózi. Nie spostrzegła tego i nie oddała ukłonu. Tamten przystanął na chodniku i przez długą chwilę spoglądał przez swoje w złoto oprawne binokle, na zapałzoną w siebie, pod rękę idącą parę.

Widok ten nie był mu widocznie przyjemnym, albowiem chmurnie ściągnął brwi i z gniewem targnął swoją ryżawą, w klin przyciętą bródkę.

— Wiesz, Tadiu — przerwała Różia pierwsza to wymowne milczenie — wybiegłam dzisiaj rano przed ósmą na ulicę. Myślałam, że cię może spotkam.

— Masz tobie! A ja właśnie zasnęłam. Wstałam dopiero o dziewiątej.

— Doskonale zrobiłeś. Tylko ja, gapa, zapomniałam o tem, żeś ty znużony i musisz się wyspać.

— Gdybym był przeczuł, wstałbym i tak...

— No, to lepiej, żeś nie przeczuł... — uśmiechnęła się rozradowana tą jego gotowością.

Przechodzili teraz koło małej cukierni, z bardzo skromną szybą wystawową. Tadek spojrzął na wystawę, potem na szyld i zawołał:

— Rozalko, pamiętasz?

Skinęła głową z uśmiechem.

— Oczywiście. Tutaj chodziłyśmy zawsze z Wandzią Borowicką na ciastka ze szkoły.

— A raz rozsypały się na chodniku książki. Wtedy ja „przywaliłem“ i pomogłem zbierać. Pamiętasz?

— No, chyba... Z jaką powagą przedstawiłeś się: panie pozwolą, że się przedstawię, jestem Tadeusz Dowgird. Ja z początku myślałam, że ty do Wandzi. Przecież ona taka cudna. Gdzie mnie się z nią równać.

— Niech sobie będzie cudna! Mnie się tam kto inny od razu spodobał.

— Taki czarny szczer, prawda? — i Różia kokieteryjnie trochę poprawiła swoje czarne, puszyste włosy, wymykające się z pod kapełusza.

— A jakże!... Taki ładny, miłutki szcurek. A potem to pierwsze spotkanie w parku...

— Przypadkiem — uzupełniła z filuterną miną Różia.

(Ciąg dalszy nastąpi).